

PŁOMYK

TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

ROK 20

•

TOM II

•

NR. 25

WARSZAWA, 2 MARCA 1936 ROKU



DZIEWCZĘTA SOWIECKIE

TEATR DLA DZIECI W MOSKWIE

Wielką uwagę zwraca się w Rosji na szkołę i na sztukę w szkole. Wszędzie wiele miejsca udziela się wychowaniu artystycznemu, sztuce, widowiskom teatralnym.

Oczywiście, w Rosji, gdzie wszystkie muzea, zbiory, biblioteki i teatry są instytucjami państwowymi, jest to łatwiejsze do przeprowadzenia niż gdzie indziej. Tembardziej, gdy się zważy, że w zasadzie bilety na widowiska oraz do zbiorów i muzeów są bezpłatne.

Już w najcięższych czasach wojny i głodu (1918 — 1922) Podsekcja dziecięca Teatralno-Muzycznej sekcji Sowietu Moskiewskiego zorganizowała blisko 3.000 widowisk dla dzieci i młodzieży w fabrykach, szkołach i t. d. Jesienią 1918 r. założono Teatr Kukielkowy Moskiewskiego Sowietu. W tym samym czasie założono Balet dla dzieci. Na wiosnę 1920 r. założono również I Państwowy Zakład gry dziecięcej. W zakładzie tym opracowane zostały

specjalne programy dla dziecięcych koncertów. W koncertach brali udział najwybitniejsi muzycy rosyjscy. W tym I Zakładzie gry dziecięcej powołano komisję specjalistów, mających układać teksty i muzykę pieśni dziecięcych. Jednocześnie przy Państwowym Instytucie dramatu muzycznego założony został Klub dziecięcy.

Wszystko to powstało z inicjatywy Natalji Sac — organizatorki, reżyserki i kierowniczkii teatrów dla dzieci.

Najwybitniejszym jednak jej dziełem jest istniejący od wojny 1921 roku Teatr dla dzieci w Moskwie. Dzieci pożądlwie ohodzą i cheiwie wypatrują na afiszach swoich sztuk: „Mister Buble i robak”, „Murzynek i małpa”, „Fritz Bauer” czy „Widowisko japońskie”. Móc widzieć jedną ze sztuk teatru to dla nich wielkie święto. Codzienn setki dzieci muszą odejść od kasy bez biletu, gdyż brak już w przepełnionym teatrze wolnych miejsc. Dzieci w niecierpliwem



NA PRZEDSTAWIENIU



W SZKOLE

i żałosnem przestępowaniu z nogi na nogę, ciągną matki za ręce.

— Chodźmy do cioci Nataszy... Pomówimy z nią... Ciocia Natasza napewno nas wprowadzi...

„Ciocia Natasza” to właśnie dyrektor i kierownik artystyczny moskiewskiego Teatru dla dzieci — Natalja Sac. Tak ją nazywają dzieci, które kochają bez granic kierowniczkę swojego teatru.



DZIECI Z UZBEKISTANU





UKRAINKI

„Ciocia Natasza” to prawdziwy przyjaciel dzieci. Na skwerach, po ulicach Moskwy wólcza się często bezdomne, opuszczone dzieci. To mali ulicznicy, głodni, nieufni, źli. „Ciocia Natasza” z kilkoma dziećmi udaje się na taki skwer. Obstępuje ją banda małych chuliganów z papierosami w zębach i złością w spojrzeniu.

— Idziemy do teatru...

Spoczątku jej nie wierzą. Patrzą spodełba. Ale „ciocia Natasza” już ich prowadzi — prowadzi na przedstawienie. Mali, bezdomni oberwańcy siedzą w teatrze. Twarze ich nabierają czujności. Spoglądają ku rampie. Tam już stoi „ciocia Natasza” i mówi do dzieci. Sala jest nabita, wypełniona po brzegi.

— Ano dzieci — zwraca się „ciocia Natasza” — powiedzcie mi, co ja lubię?...

— Wiemy, wiemy — wybucha gwar na sali — ty lubisz opowiadać...

„Ciocia Natasza” chętnie przytakuje.

— Tak, rzeczywiście, lubię opowiadać. A zgadnijcie, co ja jeszcze lubię?...

— Lubisz, żeby było cicho...

— Tak, rzeczywiście. A więc teraz, gdy jest już oisza, opowiem wam coś o dzisiejszem przedstawieniu.

„Ciocia Natasza” opowiada. Teatr słucha. Za chwilę kurtyna odsłoni oświetloną scenę. Ukształtowanie przestrzeni, dekoracje są bardzo proste. Jest ich niewiele. Tylko te, które są dla akcji niezbędne. W ten sposób uwaga ześrodkowuje się, zamiast rozpraszać, na rzeczach najważniejszych w widowisku. Na scenie grają jedną ze sztuk teatru. Sztuki bywają różne. Lecz jakkolwiek byłby temat widowiska, zawsze jest żywy, interesujący, bliski.

Dzieci, sztywnie wyprostowane w swoich krzesłach, słuchają z uwagą. Oczy płoną. Na polizki występują wypieki z ogromnego przejęcia. Zostały gwałtownie wprowadzone w krąg widowiska, rozgrywającego się przed nimi, w to wszystko, co tam się dzieje. Widowisko zawsze związane jest z życiem współczesnej Rosji. Gra teatralna budzi w dzieciach surowy heroizm, entuzjazm dla budownictwa, radość. Dzieci nie czują się tam słabe, opuszczone, bezrad-



GRA NA FLECIE

ne. Dlatego tak kochają swój teatr i jego kierowniczkę — Natalję Sac.

Moskiewski teatr dla dzieci często wyjeżdża do większych miast Rosji i na prowincję. Zdarza się, że dzieci siedzą już w zapelnionym teatrze, czekają z niecierpliwością, a teatr jeszcze nie przyjechał. Wtedy dzieci nie grymaszą, nie krzyczą. Wychodzi ich kilkoro przed scenę, urządzają tymczasowe widowisko i zabawiają się same, dopóki nie przybędzie „ciocia Natasza”.

Po każdym nowym przedstawieniu dzieci wysyłają do teatru listy. Kreślą

w nich swoje uwagi, przedstawiają swe pragnienia i żądania.

W moskiewskim teatrze dla dzieci współpracują doświadczeni pedagodzy, literaci, reżyserzy, aktorzy i muzycy. Stworzone przez nich widowisko to niezapomniane dla wszystkich dzieci przeżycie. To, co boli, zachwycę lub raduje duszę dziecka, rozwija się właśnie na scenie, przed oczami.

Teatr dla dzieci rozwija i organizuje duszę dziecka. A tego dzień w dzień pomagają się milionowe masy dziecięce Moskwy i całego kraju.

A. Bruski

JAK PRACUJĄ W Z. S. R. R.¹⁾

List pioniera (skauta) rosyjskiego do angielskiego skauta.

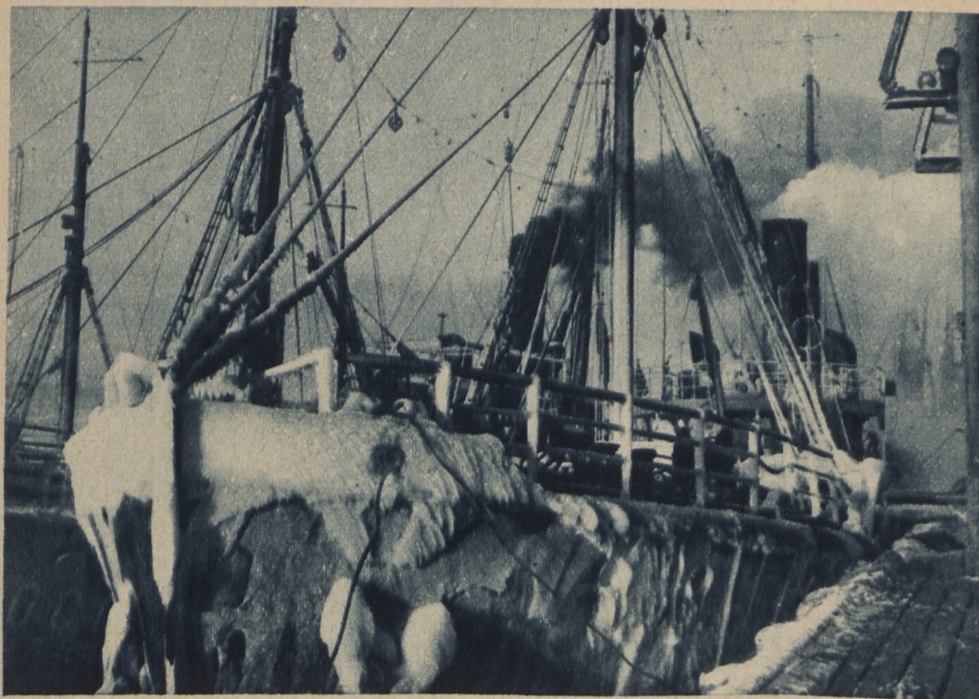
Kochany Dżeku!

W ostatnim liście pytasz mnie, czym właściwie dzisiejsza Rosja może się pochlubić, z czego jest najbardziej dumna?

Naszą chlubą, naszą dumą, naszym bożyszczem jest praca.

Współzawodnictwo w pracy, wyścig

¹⁾ Skrót nazwy: Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich.



TRAWLER NA MURMANIE

pracy, płomienna dążność do otrzymania największych wyników pracy na pożytek naszej ojczyzny — oto nasza chluba i duma.

Nie znam dobrze warunków istnie-

nia Twojej ojczyzny, Drogi Dżeku, ale śmiem sądzić, że pod względem pracowitości prześcignęliśmy Was — Anglików.

Najlepsi robotnicy otoczeni są



LENINGRAD

w Z. S. R. R. powszechną cześć, są bohaterami, o których się pisze w gazetach, których portrety zdobią ściany naszych klubów i mieszkań. Bohaterowie pracy, np. choćby taki Stachanow, górnik, który prześcignął wszystkich górników świata w ilości wydobytego dziennie węgla, korzystają z wielu przywilejów.

W herbie naszego państwa umieszczono sierp i młot. Chodziło o to, żeby podkreślić, że ideałem naszym jest praca w fabrykach, warsztatach i na roli.

Zgadzam się z Tobą, Drogi Dżeku, że w naszym życiu prywatnym jest dużo braków i niedociągnięć. Nie przeczę, że odżywiamy się bardzo słabo, może nawet niedostatecznie.

Tak to wszystko prawda! Ale my, czerwoni pionierzy, rozumiemy, że nie wszystko od razu. Rząd nasz zajęty jest teraz budownictwem państwowym, wielkim przemysłem, armją (wszak musimy mieć silne wojsko dla obrony swej ojczyzny od wrogów zewnętrznych i wewnętrznych).

Wierzimy w lepsze jutro, które wywalczymy wyteżoną pracą i karnością.

Rząd nasz, zaspokoiwszy najpilniejsze, najbardziej palące potrzeby państwowe, pomyśli nad lepszym, piękniejszym urzędzeniem prywatnego życia obywateli Z. S. R. R.

Piszesz mi, Dżeku, że tyle ludzi ginie w Rosji od chorób, głodu, przepracowania i od „nieodpowiedniego traktowania przez policję”. Może masz rację pod pewnym względem. Ale czemżeż jest pojedynczy człowiek, czem jest



FABRYKA TRAKTORÓW

nawet setka, nawet tysiąc ludzi. Człowiek ginie, dzieło jego pracy pozostaje.

Gdyby nie gigantyczny wysiłek mózgu naszych inżynierów i mięśni naszych robotników, gdyby nie tysiące poległych przy pracy, to czyż mielibyśmy taki Magnitogorsk, taki Dnieprostroj, albo kanał Bałtycko-Białomorski?

Gdyby nie nasz zapał i wiara w potęgę pracy, czyżbyśmy się odważyli przystąpić do budowy kanału, łączącego rzekę Moskwę z Wołgą?

Jakbym Cię widział Kochany Dżeku, jak szukasz na mapie Magnitogorska. Na mapach sprzed lat sześciu nie znajdziesz go.

Jeszcze niecałe sześć lat temu tam,



LENINGRAD

gdzie dzisiaj pną się w niebo strzeliste kominy fabryki wielkich pieców, gdzie w nocy jarzą się tysiące lamp elektrycznych, był pusty step syberyjski i gołe bezludne góry.

W ciągu pięciu lat powstał potężny ośrodek przemysłowo-fabryczny produkujący miliony tonn surowki i najlepszej w świecie stali. Wyrośliło miasto liczące około 400 000 mieszkańców.



PRZEDMIEŚCIE NOWOSYBIRSKA

Magnitogorsk został założony 25 czerwca 1930 roku, w okolicy, gdzie w górach istnieją olbrzymie złoża wysokowartościowej rudy żelaznej o własnościach magnetycznych.

Stąd nazwa „Magnitogorsk”.

Jeżeli chcesz znaleźć okolicę, gdzie się znajduje to szukaj w następujący sposób.

Wyobraź sobie, że wyjechałeś z Moskwy koleją na Riazan do Samary. Tu przejeżdżasz Wolgę i przez Bugurustan, Ufę docierasz do Czelabińska. W tej okolicy szukaj Magnitogorska na współczesnych mapach.

A taki Dnieprostroj czy nie może być chlubą naszej pracy? Tam gdzie dawniej było Zaporozże, gdzie były porohy Dnieprowe, zbudowano w poprzek rzeki olbrzymią tamę-wał betonowy 760 metrów długości, wysokości 62 metrów i szerokości 40 m.

Na budowę tamy zużyto 1 200 000 metrów sześciennych betonu.

Ujarmione wody Dniepru służą do tego, żeby zapomocą potężnych turbin wytwarzać olbrzymie ilości energii elektrycznej. Elektryczność oświetla setki wsi i miasteczek, dostarcza energję do poruszania tysięcy maszyn po fabrykach i warsztatach południowej Rosji Europejskiej.

A taki kanał imienia Lenina, łączący morze Bałtyckie z Białym Morzem



W PORCIE

i Oceanem Lodowatym czy nie jest cudem ludzkiej pracy i pomysłowości?

Ileż tonn ziemi trzeba było wykopać, ile skał wysadzić w powietrze, ile lasów wykarczować? I to w strasznych warunkach północnego klimatu.

Przyznaj, Dżeku, że możemy być dumni z wyników naszej pracy i naszej pomysłowości!

Twój Wasyl Ugriumow

W. S.



K A L O S Z

(humoreska)

Nietrudno, rozumie się, zgubić w tramwaju kalosz. Zwłaszcza, jeśli pcha się ktoś zboku, a inny znów stylu po piętach depce. Przepadło wtedy — już po kaloszu.

Zgubić kalosz, to bagatelka poprostu.

Zdjeli mi kalosz raz-dwa. Ani się spostrzegłem.

Gdym wchodził do tramwaju — były oba kalosze na miejscu. Pamiętam, jak dziś. Ręką jeszcze macałem, czy są.

A gdym wychodził z tramwaju, jeden — patrzę — kalosz jest, a drugiego niema. But — jest. I skarpetka też, patrzę, jest. Kalosony także na miejscu. A kalosza niema.

Tramwaju, rozumie się, nie dopędzę.

Zdjąłem pozostały kalosz, zawiązałem go w gazetę i poszedłem. Po pracy, myślałem sobie, pójdę na zwiady. Nie daruję towaru. Spod ziemi choćby wynajdę.

Po pracy poszedłem na poszukiwa-

nia. Poradziłem się przedewszystkiem znajomego konduktora.

Ten, uważacie, dodał mi, poprostu, otuchy.

— Ciesz się, powiada, żeś zgubił w tramwaju. Za inne publiczne miejsce nie ręczyłbym, lecz w tramwaju nie zginać nie może. Mamy skład zaginionych rzeczy. Idź tam i weź. Murowane!

— Dzięki, powiadam, serdeczne. Kamień mi, poprostu, spadł z serca. Grunt, że kalosz prawie nowy. Raptem trzeci sezon noszę.

Pojechałem nazajutrz do składu.

— Mógłbym — powiadam, otrzymać spowrotem kalosz 12 numer? Buchnęli mi go w tramwaju.

— My, powiadają, 12 numeru mamy bodaj 12 tysięcy. Opisz go.

— A więc, powiadam, kalosz zwykły: stylu, rozumie się, mocno sfatygowany, wewnątrz brak podszewki — postrzępiła się docna.

— Takich, powiada, kaloszy mamy



bodaj więcej, niż tysiąc. A może są jakie szczególne znaki?

— Szczególne — powiadam — znaki są. Szpic jakgdyby na amen urwany, ledwo trzyma się. Obcasa, powiadam, też prawie niema. Startł się obcas. A hoki, powiadam, w tłoku ujdą, uchowały się dotąd.

— Posiedź, powiadają, zaraz sprawdzimy.

— I przynoszą, uważacie, mój kalosz.

Rozumie się, okropnie ucieszyłem się. Wybornie, myślę, funkcjonuje aparat. Ideowi to, myślę, ludzie — tyle krzątający koło jednego kalosza.

— Dzięki wam, powiadam, przyjaciele do grobowej deski. Dajcież mi go jaknajprędzej. Zaraz go włożę.

— Pomalutku, powiadają, szanowny towarzyszu; nie możemy wydać. Nie wiemy, powiadają, czy to wy go zgubiliście.

— Ja, powiadam, zgubiłem. Bardzo, powiadają, możliwe, lecz nie możemy wydać. Przynieś zaświadczenie, żeś doprawdy zgubił kalosz. Niech zarząd domu poświadczy ten fakt, a wtedy bez żadnych korowodów wydamy.

— Bracia, powiadam, święci towarzysze, nie wiedzą przecież w domu o tym fakcie. Może mi nie dadzą takiego papierka.

— Dadzą, powiadają, to do nich należy.

Raz jeszcze popatrzyłem na kalosz i wyszedłem.

Następnego dnia udałem się do prezesa.

— Daj, powiadam, papierek. Kalosz ginie.

— Doprawdy, powiada, zgubiłeś? Nie nabierasz?

— Jak Bożę kocham, powiadam, zgubiłem.

— Pisz, powiada, zgłoszenie.

Napisałem zgłoszenie. Nazajutrz dostałem poświadczenie, jak się patrzy.

Poszedłem z tem zaświadczeniem do składu. I bez żadnych korowodów, bez łażenia wydają mi kalosz.

Gdym włożył kalosz na nogę, odczułem dopiero pełnię zadowolenia. Chwacko, myślę, aparat funkcjonuje! Czy w jakimkolwiek innym kraju poświęconoby tyle czasu memu kaloszowi? Wyrzuconoby go napewno z tramwaju i basta. A tu tygodnia nawet nie biegałem — zwracają. Taki aparat, to proszę siadać!

Gniewa mnie tylko to, że w ciągu tej bieraniny zgubiłem tamten kalosz. Przez cały czas piastowałem go pod pachą i zupełnie nie pamiętam, w którym miejscu zostawiłem go. Grunt, że nie w tramwaju. Kiepsko, że nie w tramwaju. Szukaj teraz wiatru w polu.

Lecz zato drugi kalosz mam. Postawiłem go na komodzie. Nieswojo czasem robi się człowiekowi — spoglądam wtedy na kalosz i znów staję się pogodny, niefrasobliwy. Wspaniały, myślę, mamy aparat!

M. Zoszczenko

T A J G A

Poszumem głębokim, majestatycznym odpowiada tajga wichrom złośliwie syczącym, co z północy, spod bieguny przywędrowały. Trwożliwie i po-

kornie chylą się brzoźki karłowate na pograniczu tundry. Nieco śmielej stawiają czoła pokraczne świerczki, a całkiem pewną siebie, dumną odpowiedź

dają potężne limby syberyjskie i jodły niebotyczne, wznoszące się szaremi kolumnami. Dalej na południe wrzynają się w gąszcz świerkowo-jodłowy pasma modrzewiny i wkraczają do królestwa tajgi zastępy drzew liściastych. Zwarty kożuch leśny przedzierają barwne polany, porośłe zbitą trawą. Wydaje się, jakby tajga pod wpływem gorętszych pieszczot słońca uśmiechnęła się i rozchmurzyła swe ponure oblicze. Szczególnie na wiosnę, gdy szemrzą niezliczone potoki, gdy huczą potężne rzeki, niosąc tafle lodowe na daleką północ, rozwija się bujne życie, tryskające z każdej młodej szpileczki modrzewiowej, z każdego ziółka, i nawet ze smutnych, obwieszonych obfitością porostami, drzew na brzegu tundry. Roztopy, świeże bajorka i śpiewające hymny upragnionej wiosnie potoki wypędzają myśliwych koczowników, co przez całą zimę uwiązali się po tajdze, zdobywając cenne futra gronostajów, soboli, kun, rosomaków, rysi, niedźwiedzi, popielic-wiewiórek syberyjskich i wszelkiej innej zwierzyny, zwanej przez nich „pusznią”. Spokój radosny panuje teraz wszędzie.

Olbrzymie stada refinerów, którym dowodzą stare, doświadczone łanie, posiadające niewielkie rogi — w przeciwieństwie do łań naszego jelenia, wędrują na północ, ku tundrom. Przez zimę kryły się one w tajdze, znajdując w niej pożywienie i schronienie przed ostremi wichrami i strasliwym zimnem, co tundrę w skorupę lodową zmarzniętą zamienia. Znikły również zastępy żarłocznych lemingów — małych, pstrokatych gryzoni, które głodem i chorobami z tundry wypędzane, czeredami ruszają jesienią na południe, pożerając wszystko, co się po drodze nawinie. Zbudziły się w gawrach-barłogach liczne niedźwiedzie. Niedźwiedzice-matki wyprowadzają w świat kudłatą, niezaradną młodzież, ucząc ją poznawać wieczną prawdę żywota. Zaskrzeczały weselej w ciemnych koronach limb orzechówki i sójki, a puhacze-odludki zachłysnęły się tajemniczym hukaniem, budząc po nocach donośne echo. Na wzgórzach skalistych i płaskowyżach, na stokach Altaju i Sajanów radośnie witają wiosnę, przynoszącą pożywność i obfitą paszę, zbiedzzone zimową głodówką jelenie-marale.



JEZIORO BAJKAŁ

a jeszcze wyżej, przy szczytach wiecznie ośnieżonych, wtórują im górskie długorogie barany. W ciemnym gąszczu, złotymi promykami słońca przetykanym, długim, przeciągłym gwizdaniem nawołują się wyprawiające wesela jarząbki. Na bagnistych polankach tokować poczęły cietrzewie-rycerze w czarno-granatowej zbroi, a w gęstwinie pomroczonej zanuciły czarowną pieśń wiosenną zakochane w skromnych, szarych oblubienicach głuszce. Pojawiły się słonki i przeróżne kuliki. Słońce życiodajnym żarem obdarza zneknaną trzaskającymi mrozami ziemię, wynagradzając sownicie minionie udręki zimowe. Rozpadły się bandy wilcze, co w zimie tajgę przemierzały, współzawodnicząc z człowiekiem w napastowaniu reniferów, łosi, marali, sarn syberyjskich, większym wzrostem i dłuższem porożem od naszych się różniących, oraz wszelkiej innej drobniejszej zwierzyny. Troszczące się o los przyszłego potomstwa, wilczyce szukać zaczęły przytulnych, zapadłych dolów. Te same myśli zaprzętały umysły lisów,

co nory swe do porządku doprowadziły. Po dziuplach i rozpadlinach rozmieściły się rodziny kun, gronostajów, soboli i różnych innych amatorów zacisznych skrytek. W norach ponurych rosomaków również zjawiły się młode, chronione przez matki z wielką troskliwością i bronione w razie potrzeby z nadzwyczajną odwagą. Na pograniczu tundry przed brzaskiem ciszę nocną mąciły djabelskim chichotem bezbronne, łagodne pardwy, na życie których czyhało zewsząd niebezpieczeństwo ze strony licznych wrogów, łasych na mięso tych ptaków, — drapieżników czworonożnych i skrzydlatych, sów, sokołów i jastrzębi.

Szumi tajga odwieczna, spierając się z wichurami złośliwymi, jak dawniej szumiała i jak zawsze szumieć będzie... Śpiewała od wieków tajga pieśni Chwały swemu Stwórcy przed zjawieniem się człowieka i śpiewać je będzie po zniknięciu mrowia ludzkiego z oblicza ziemi.

Inż. Włodzimierz Lindeman



Mamo! Piszę do ciebie ten list. Czy go czytać
Będziesz? Nie wiem! Czy dojdzie? Nie wiem! Chciałbym spytać
Kwiatka, jak to się u nas wróży listków rwaniem,
Ale kwiaty umarły pod śniegu posłaniem
I o losie tej kartki żaden mi nie powie!
Mamo! Jak to okropnie, gdy w słowo po słowie
Kładę serce swe, duszę, ach, całego siebie,
A nie wiem, czy *tak* chociaż powrócę do ciebie!

Mamo! Jak to już dawno, jak dawno się zdaje,
Gdym cię zegnał! Ta chwila, jak we mgle mi staje
Przed okiem, zapatrzonem tam, ku naszej stronie!
Widzę twoje rozpacznie wyciągnięte dłonie,
Widzę ruch ten, gdy chciałaś, z bólu obłąkana,
Przed potworem dymiącym runąć na kolana,

I ten wieczór — i słońce gaśnące szkarłatnie,
I jękiem rwie mi serce „Pamiętaj!” ostatnie!

„Pamiętaj!” Mamo! Ile w tym jednym wyrazie
Jest męki! Gdyby wyrzucić słowo to na glazie
I kazać mu pamiętać: z żalu głazby spękał!
Niema dnia, niema nocy, bym we łzach nie klękał,
Powtarzając „Pamiętaj!” straszne, jak przekleństwo!
O, matko! Jeśliś chciała dać błogosławieństwo,
Bym żyjąc i konając, nie cierpiał ogromniej,
To było mnie pożegnać, wołając: „Zapomnij!”

Piszę rankiem. Śnieg zawiął okienka mej chaty,
W izbie mroźno i azaro... Jakiś gość skrzydlaty
Przed zimnem do lepianki schronił się — i ćwierka.
Ja piszę, a ptaszyna spod pułapu zerka
I widzi, jak na papier ciężka łza mi kapie...
Sople wiszą lodowe u ścian, na okapie
I stary mój kożuszek srebrzy się od szronu...
Jak głucho! Bicie serca słyszać, jak głos dzwonu...

Co tu robię? Jak żyję? Nie wiem, jak nakreślić,
Że patrząc — nie chcę widzieć, myśląc — nie chcę myśleć,
Że pomiędzy tem wszystkim, co mnie tu otacza,
A mną — jest dusza moja, która przeinacza
Rzeczywistość — i sprawia, że złudzony snami
Chodzę z niewidomymi, jak ślepiec, oczami
I dzień po dniu przeżywam, i chwilę za chwilą
Tem, co mam wewnątrz siebie... I tak trwam: tem tylko!...

Ludzie nie są źli tutaj. Jest w nich jakaś szczerza
Litość. Nieraz chłop prosty tak na mnie spoziera,
Jak ja patrzyłem niegdyś na pisklę bezdomne.
Nieraz, gdy wyjdę z chaty na śniegi ogromne,
Zakrwawione od zorzy polarnego nieba,
Na progu pieniądz srebrny, albo krążek chleba
Położy jakaś dobra, niewiadoma ręka.
Jem chleb ten, gdy to piszę — i serce mi pęka!

Mamo! Napisz mi wszystko! Czy tak samo z rana
Gra srebrna sygnaturka u świętego Jana?
Czy jednako pod zamkiem pluska Wiśły fala?
Czy słońce zawsze najpierw płomienie zapala
Na kolumnie Zygmunta, wprost naszego domu?

Czy pieśń z Fary, jak echo dalekiego gromu,
Bijąc w niebo milczące, brzmi po staroświecku?
Pytam, jak dziecko małe... Odpowiedz, jak dziecku!

Ach, mamó, jak mi tękno! A śnię, co noc prawie,
Żem w kraju: nasz pokoik widzę, jak na jawie!
Staś kłusuje na krześle z pałasikiem w rękę,
Ty, mamó, jak to zwykle, szyjesz przy okienku,
A w kącie ja i Zosia gwarzyśmy oboje.
Budzę się, ale oczy otworzyć się boję
I chciałbym usnąć jeszcze, by ujrzeć to samo...
Jaki to żal okropny! Jaki to żal, mamó!

Zosia!... Nie mogę o tem... Mamó! Powiedz Zosi:
Niechaj zapomni! Powiedz, że ją o to prosi
Umarły! Niech zapomni i niech mi przebaczy,
Żem, prócz niej, kochał kogoś bardziej — choć inaczej!
Stasia ucałuj, mamó! Mów z nim często o mnie,
Mów, jak jest, choćbyś miała zasmucić ogromnie
Tę duszyczkę tak jasną, jak jego oczęta!...
Zosia... niechaj zapomni! Lecz on. niech pamięta!

Mamó! Bądź zdrowa, mamó! Niech Boża opieka
Będzie nad wami! Pozdrów każdego człowieka,
Mur każdy, wszystkich, wszystko! Pozdrów, jak od brata!
Mamó! Ja piszę do was, jak z tamtego świata,
Bo, ja stamtąd — nie wrócę! Ach, jakie wrą wojny
W mem sercu! Chciałbym zwalczyć! Chciałbym być spokojny!
Ale kiedy pomyśle: Nigdy! Nigdy! Nigdy!
O, mamó!...

Or—Ot



ELOE

mal. W. Pruszkowski

lonji? Uj, to z wielkiego miasta! Ja nigdy nie widziałam wielkie miasto! Proszę usiąść, odpocząć, tu jest ławeczka. My trzymamy ten ogród w arendę. Dziedzic tu nie mieszka, on wyjechał. Jak tatunio musi na targ — to ja ogród pilnuję... Cicho, Motyl, nie płacz...

Jeszcze niewiele rozumiem, siedzimy jak trzy gapy, a żydówka nie przestaje rozmawiać i śmiać się. Czarne oczy jej się błyszczą, na głowie ma upięty czarny warkocz, ubrana w jakąś postrzępioną, wyblakłą sukienkę. Bawi nas, jak hrabina w salonie! Coś nadzwyczajnego! Jak my wyglądamy? Tego już nie można nazwać wstydem, to jest coś więcej. Nigdy tego uczucia nie zapomnę: własnej niższości.

— Ja się nazywam Esterka. U nas w domu jest sześcioro. Mój tatunio jest bardzo biedny człowiek, on musi dobrze się postarać, żeby nam włożyć co do ust, nie? Ile jabłuszek można zważyć?

Kazia uśmiecha się do milej żydówki i pokazuje Motylowi jakieś hocki-klocki na palcach. Mały aż się ślini z radości. A gdy już nasze owoce odważone, Kazia pyta nieśmiało:

— Ile kosztują?

— Trzydzieści groszy... Na targu, to one kosztują pięćdziesiąt, ale kto tu przyjdzie, to...

— Dobrze... ale właśnie... niech Esterka posłucha... my właściwie nie mamy pieniędzy... ale... ale może za tą broszkę, dobrze?

- I co?
- Dokoła czerwone jabłka... gruszki...
- Tam, w budzie?
- No!
- Więc co?
- Ach, jacyście! Możliwy całą wyprawę, napad... Żyd złakłby się, jabłek da, ile chcemy... że to niby okup... rozumiecie?
- Zrozumieliśmy wmg! To dopiero będzie ciekawa heca! Inni chłopcy będą zazdrościć!
- Możliwy rankiem... Ale narazie tajemnica...
- Tak, tak, tajemnica...
- Ale dla Edka to za daleko...
- Ja będę w połowie drogi, na czatach...
- Dobra! Jakby co, to gwizdź!
- Ale jak co?
- No, bo ja wiem...
- Kazia weźmie swój koszyk, przyniesiemy owoców...
- A jeżeli żyd nie da?
- Weźmiemy siłą!
- O! Siłą?
- Niema o czem gadać, jak się przestraszy, to sam nam da, w prezencie...
- Ale czy to tak można?
- Masz! Najgorzej z dziewczynami! Mówiłem, żeby Kazi nie wtajemniczać!
- No już dobrze, dobrze, nie gadaj...
- Więc jutro?
- Doskonale!

Szliśmy najpierw prędko, potem coraz wolniej. Jednak to było bardzo daleko. Stefan na przedzie, ciągle nas podnieca opowiadaniem, jakie smaczne będą owoce... Coprawda chętnie zjadłoby się teraz soczystą gruszczkę... Robi się coraz goręcej. Kazia sapie i narzeka, że tak daleko. Nagle w krzyk:

— Coś tam leci! Patrzcie!

— Pies!

— Jaki duży!

— Napewno wściekły!

— Ratujmy się!

Robi mi się zimno. Rzeczywiście, wielkie psi-sko leci drogą naprzeciwko nas, z podwiniętym ogonem.

— Wściekły pies ma zawsze podniesiony ogon do góry... — pociesza nas niepewnie Stef.

— Uciekajmy!

— Nie wolno uciekać! Ojciec mi mówił! Trzeba wejść na drzewo!

— Dobrze ci gadać! Nie każdy łązi po drzewach jak małpa!

Zresztą w pobliżu niema, jak na złość, ani jednego drzewa... jesteśmy przecież w polu! Nogi podemną drżą... Tymczasem pies widać nas zobaczył, zatrzymał się i węszy...

— Ja się boję, o Jezu! — piszczy Kazia.

— Nie bój się, tchórze — pociesza Stefek, ale coraz prędzej maszeruje wbok od drogi... Puszczamy się pędem w boczną ścieżynę, między zboże...

— Kładźcie się na ziemi! — komenderuje Stef.

Chowamy się za kukurydzę... Pies pędzi drogą, jak szalony...

— Wściekły, napewno wściekły — szepcze Kazia i z całych sił ściska moją rękę.

— Zobaczy, czy nie zobaczy? — myślimy.

Ale pies nie zatrzymał się i popędził dalej. Jeszcze długo stawialiśmy niepewnie nogi. Kazia oglądała się niespokojnie, a Stefek śmiał się:

— Widzicie, nie mówiłem? Pocziwina, a tu tyle strachu!

— A tyś nie leżał nosem w piasku? Co się chwalisz? Wielka rzecz udawać odważnego, gdy już po niebezpieczeństwie...

Gdy zeszlśmy z góry, było już wyraźnie widać biały dom, otoczony drzewami. Stefek poprowadził nas do znajomego miejsca.

— To tutaj...

Cicho dokoła, jakby nikt w pięknym pałacu nie mieszkał. Wielkie drzewa aż uginają się od owoców. Przez parkan widać zarośnięte gęsto ścieżki, masę chwastów i wysokiej trawy. Dalej stoją ule, a na uboczu namiot z szarego płótna.

— No! Odważnie! Naprzód! — mówi Stef i rozgląda się niepewnie.

Nie słyhać nawet trzaśnięcia gałązką, tylko kogut gdzieś daleko zapiał. Kazia przywarła do parkanu, boi się ruszyć. Słyszymy, jak nam biją własne serca... Watyd mi się przyznać, ale troszkę,

troszeczkę boję się starego żyda. A nuż rzuci na nas przekleństwo? Zbliżamy się do budy... Ściskam w rękę kij...

— Hej, tam! Panie kupiec! — woła Stefan. Ale nikt mu nie odpowiada.

— Hej, tam! — krzyczę jeszcze głośniejsze, ale tylko echo się odzywa.

— Wiesz co? Pewno żyd odszedł... Hurra! Zabierzemy łup!

— Hurra! — powtarzam i wpadamy do namiotu.

Na brudnej macie walają się jabłka, na wadze leżą odmierzone gruszki... W kącie, zawinięty w jakieś łachmany, siedzi mały dzieciak i liże marchew... Wybałusza na nas okrągłe, nierozumne oczy, ale wcale nie płacze...

Stefan nachyla się nad owocami i mówi:

— Nie wołaj Kazi, zabierzemy tak... Ona się rozmyśli, gdy zobaczy dziecko...

Ale jakoś nie pakuje jabłek do czapki. Patrzymy to na małego żydziaka, to na siebie... Wyglądamy niemądrze w tej niskiej budzie, zgięci wpół, przejęci...

Odszedł mi humor. Stefan mówi jakoś bez przekonania:

— Widzisz, mamy szczęście, bierz, ile wlezie i uciekajmy...

I po jednym jabłku, powoli wkładamy do kieszeni... Nagle robi mi się szalenie głupio, mówię:



— Coś tam leci, patrzcie!

Trzeba przyznać, że mnie bardzo pociągała ta wyprawa. Zupełnie jak w kinie, albo w książce. Przygotowujemy się przez cały dzień i mamy tajemnicze miny. Zdawało mi się nawet, że Chińczyk wyraźnie mi się dziś przyglądał — czyżby się domyślił, że przygotowujemy jakiś zamach? Pocieszam się, że to przecież nic złego.

Na drugi dzień posłaliśmy, jak zwykle, swoje łóżka, zmyli pod pomipą naczynia po śniadaniu, spieszymy się, aż nam wszystko z rąk leci... Chodzi o to, żeby nikt z „obcych” nie wypatrzył, dokąd idziemy, żeby odejść niepostrzeżenie... Najpierw do wigwamu, a potem wychodzimy po jednemu... Tomek został pod opieką Maniusi, którą Kazia związała przysięgą, że nic nie wygada. Kazia idzie pierwsza, na skraju lasu ukryła wczoraj koszyk. Spotykamy się na umówionem miejscu.

Edek daje nam wystrugane kije:

— Macie tu po kijaszku, mogą być psy... Ja pójdę powoli za wami, będę czekał przy tej tam najgrubszej wierzbie. Wy wejdźcie do ogrodu, a Kazia z koszykiem niech czeka przy parkanie. A jakby gonili, to schowajcie się do rowu, ja przeczekam...

Staramy się wszystko przewidzieć jaknajdokładniej i obmyślić obronę, chociaż cprawda nie nam narazie nie grozi... Pogoda śliczna, nikt nas nie spostrzegł, droga prosta... Ale chodzi przecież o to, żeby wymyślić jaknajwięcej niebezpieczeństw, wtedy wyprawa jest przyjemniejsza... Każdy wie!

— To nie jest żadna napaść, ani walka, tylko zwyczajna kradzież. Nie myślę kraść!

— Jak chcesz... ale potem nie będę się z tobą dzielić...

Wyłażę z budy na czworakach, a tu na mnie patrzy jakaś nieznajoma dziewczyna. Kłania mi się grzecznie:

— Dzieńdobry panom kawalerom! Towaru może potrzeba? Proszę pięknie! Antonówki, oliwki, gruszki słodkie... Jak kawalerowie tu przyszli? Pewno przez płot? Bliższa droga? No, tak, ja też tędy zawsze przechodzę... Zważyć jabłuszka, ile?

Ona mówi i śmieje się, a ja nic. Jakbym języka w ustach zapomniał... Widzę, że Stefan, czerwony ze wstydu, wysypał ukradkiem jabłka z kieszeni na matę i wyłazi z budy...

Obydwaj nie rozumiemy, czy ta dziewczyna udaje, czy nie wie? Chcemy wiać. Ale podeszła właśnie Kazia i odpowiada składnie:

— Tak, my chcemy kupić trochę jabłek... A że nikogo w ogrodzie niema...

— Tatumio, panienko, poszedł dziś na targ. A ja trochę do pałacu odbiegłam, po mleko dla Motyla.

— Motyla??

— Tak, to właśnie ten mój braciszek. Motyl, nie śliń się, ja ci mówiłam tyle razy...

I dziewczyna wyciąga z budy brudne dziecko, huśta je na rękę.

— A panowie kawalerowie skąd? Pewno z ko-

ŚMIERĆ W TAJDZE

Skrzypnęły drzwi. Piotr Gągol podniósł się nagle z drewnianej, nieheblowanej prycey, by powitać gościa. W kącie półmrocznej, jakuckiej izby stał wysoki, barczysty i siwobrody starzec i wyciągnawszy do gospodarza swą szeroką, spracowaną rękę, uśmiechał się serdecznie. Wreszcie usiadł na ławie, rozejrzał się po pustych, obnażonych ścianach i zaraz zapytał głośno:

— Jakże tu panu?

— Dziękuję, wybornie — odparł Piotr Gągol, usiłując się uśmiechnąć.

— Odpoczął pan po podróży?

— O, tak.

— Trzeba jednak pamiętać, że odbył pan daleką i ciężką drogę. Trzyista pięćdziesiąt wiorst, to nie drobiazg, i to jeszcze po syberyjskich, dzikich manowcach. Ma pan tylko to szczęście, że podróż pańska wypadła w lecie, bo ja, naprzykład przyjechałem tutaj w grudniu 1867 roku, co wcale nie należało

do przyjemności. Od tego czasu minęło już czterdzieści parę lat! Stępiełem na ból, na głód i chłód, idąc za życia przez piekło. Dziś pozostała mi już tylko śmierć...

— Wierzę, że ujrzy pan jeszcze Ojczyznę! — rzekł Piotr mocno.

— Boję się myśleć o tem. Pan nie wie jeszcze, co to jest nostalgia! To najstraszliwszy wróg wygnańca! Człowiek, opanowany przez chorobliwą tęsknotę, czuje, że na każdym kroku ślad w ślad idzie za nim Polska! Polska krąży w jego krwi. Ale najokrutniejsze są białe, syberyjskie noce, podczas których najżywniej śni ci się Ojczyzna.

Zapanowało chwilowe milczenie. Gdzieś niedaleko cykał świerszcz, a w sieni huczały głosy Jakutów.

— Pomogę panu zagospodarować się tutaj — mówił Wiktor Oszmiański. — Zbudujemy chatę, kupimy jaki taki in-





wentarz, a ludność pomoże. Mam u nich mir. Uczciwe to plemię.

— Dziękuję serdecznie.

— Poco pan dziękuje — zaśmiał się starzec — kiedy tymczasem w niczem nie mogłem pomóc panu? Przychoǳę jednak z myślą zabrania pana z sobą. Pyta pan „gdzie”, naturalnie, w tajgę. Dzień jest piękny i ciepły, więc przejdźmy się trochę. Może po drodze zgubimy smutek, tembardziej, że syberyjska tajga ma jakiś niezwykle, wprost czarodziejski urok.

— Pójdę chętnie.

— Proszę jednak pamiętać o strzelbie, bo o niebezpieczeństwo w tej dżungli nietrudno. Pośilek już przygotowałem. Właściwie nie ja, jeno moja służąca Masza. Mam i wiernego psa.

Szybko opuścili jakucką chatę, w której wójt pomieścił świeżo przybyłego z gubernji zesłańca.

Minęli wieś i wydostali się na równinę, porośłą bujną trawą. Przed nimi czerniała tajga.

— Co za dziwne odgłosy!

— O tak, mowa puszczy jest niezbadana. Niech pan posłucha.

Zatrzymali się na chwilę. W koronach olbrzymich, wiekowych drzew, podobnych do gigantycznych kolumn, podpierających sklepienie niebieskie, panowało życie. Wokół brzmiał stukot, pisk, gardłowy krzyk, świst, śpiew i terkotanie. Gdzieś w pobliżu musiał płynąć strumień, gdyż słychać było monotonny szum.

Wtem Piotr spostrzegł w zieleni igliwia dwa chwiejne płomyki, a zaraz potem ujrzał przytulonego do kory dzikiego kota. „Ryś”, pomyślał, chwytając za strzelbę, ale w tejże chwili huknął strzał i w trawę runęło okrwawione, drgające jeszcze ciało pięknego zwierzęcia. Przycichło naraz wszystko, ale to tylko na moment, gdyż skoro już rozwiało się echo, las znów śpiewał.

W południe wpadli na rozległą polanę, zalaną słońcem i kwieciami. Tutaj spoczęli. Pan Wiktor zapalił ognisko, pragnąc uwolnić się od komarów, wysysających krew z wędrowców, utopionych w tajdze.

— Ile pan ma lat, panie Piotrze? — zagadnął naraz starzec, krając chleb (rybę suszoną przygotował przedtem).



— Dwadzieścia pięć.

— Ja mając pańskie lata zaciągnąłem się dopiero w styczniu 1863 roku do oddziałów powstańczych, przebywających w Nałęczowie. Ale niedługo mogłem Ojczyźnie służyć, gdyż w bitwie pod Fajslawicami (niedaleko Lublina) zostałem ranny w nogę. Potem przyszła niewola i Sybir. A dzisiaj, po czterdziestu latach wygnania dowiedziałem się od pana, że w Polsce znów zanoszą się na powstanie. Czy tak?

— Zanosiło się. Rok 1905 dawał nam duże nadzieje, ale ulegliśmy raz jeszcze. Wierzę jednak, że niedługo znów powstaniemy!

— Tak, tak! — powiedział starzec, ale duszą był w tej chwili daleko. W ojczyźnie...

— A teraz chodźmy dalej, bo chciałbym panu pokazać ciekawą mogilę, naturalnie mogilę wygnańca.

— Tutaj, w tajdze?

— Tak, w tajdze.

Przezali jeszcze ze dwieście metrów, gdy pod olbrzymim ciemnym drzewem ukazał się wielki krzyż, ustawiony na trawie zarosłym grobie. Piotr odczytał napis: „ś. p. Jan Sokołowski, porucznik wojsk po-

wstańczych, zginął dnia 26 listopada 1887 roku, w drodze do Ojczyzny”. Przyklękli na chwilę, chcąc oddać hołd prochom bohatera.

— Dlaczego ten grób znajduje się tutaj, w głębi puszczy? — zapytał Piotr, przerywając milczenie.

— Zaraz to panu wyjaśnię. Ale wracajmy, bo już późno.

Znów minęli parujące moczarysko, nad którym unosiły się chmury komarów.

— W czwartym roku mojego pobytu na wygnaniu, przybył tutaj nagle ześlaniec, porucznik oddziału powstańczego, walczącego pod Borelowskim — zaczął pan Wiktor. — Przyjazd Jana Sokołowskiego przepełnił serce moje niespotykaną dotąd radością. Wszak znów mogłem rozmawiać po polsku! Czyniłem wszystko, byle tylko jaknajserdeczniej przyjąć gościa. Ale Sokołowski zamknął się w zaduchu swej jakuckiej chaty i długo nie mogłem go spotkać. Od właściciela domu, poczciwego Jakuta, dowiedziałem się, że rozpacza. Wreszcie ukazał się. A był tak zmieniony, że lękałem się o jego życie. Tak, jak i dziś z panem, poszliśmy z Sokołow-

skim w tajgę. Łowy stały się naszą najmilszą rozrywką. W ten sposób zaczęły płynąć dni, tygodnie, miesiące i lata. Mój towarzysz zagospodarował się, wydobrzył i poweselał. O Polsce nie wspominał prawie nigdy. Więc i ja starałem się mówić z nim tak, by wspomnieniami o kraju nie szarpać zabliźnionych ran. Tak żyliśmy lat z górą piętnaście. Aż pewnego dnia Sokołowski otrzymał list. Przy mnie rozszarpał kopertę, z której posypała się ziemia, a właściwie mialki, szary proch. „Polska ziemia” — szepnął ze łzami w oczach i zbladł jak płótno. A w godzinę potem zamknął się znów w swej kurnej chacie i więcej nie ujrzałem go za życia. Dopiero po śmierci. Oto nazajutrz doniósł mi jeden z Jakutów, że Sokołowski opuścił swój dom, by już tam więcej nie wrócić. Wiadomość ta wstrząsnęła mną do głębi. Zrozumiałem bowiem, że porucznik postanowił przedostać się do kraju. „Szaleniec”, pomyślałem, patrząc przez okno na szalejącą

zamieć śnieżną. Czekałem parę dni, a gdy wciąż nie wracał, postanowiłem na czele grupy Sybiraków, pójść w tajgę. Wiodły nas psy. Po pięciogodzinnej wędrówce psy wykazały wyraźne zaniepokojenie. Aż wpadły na zamrożnięte bagna. Tam zaś wygrzebały ciemny, długi płaszcz. Jeszcze chwila, a wydobyliśmy złodowaciałe zwłoki porucznika Sokołowskiego, zasypane grubą warstwą śniegu. Na piersiach zmarłego znalazłem szkaplerz, wypełniony najdroższą, polską ziemią, ziemią do której dążąc przez nieskończone sybirskie bezdroża, zginął...

Pan Wiktor skończył swoją smutną opowieść. Poprawił strzelbę, przetarł oczy krzyknął i odwrócił głowę od Piotra, który z trudem hamował wzruszenie.

Słońce już zaszło. Zaczął padać miękki, pierzasty śnieg. Taki sam, jak w Polsce.

Józef Nikodem Kłosowski

LEŚNICZÓWKA NAD STUDZIENNĄ

Stary leśniczy Jeleska leżał na ławie, okryty derą ze spłowiałych skór jelenich i drzemał. Nie chciało mu się wstawać, gdyż w izdebce było zimno, a pozatem od kilku dni bolały go silnie plecy i nogi. Leżał tedy i dumiał, że pewno zima tegoroczna będzie długa i ciężka, bo ptactwo wcześniej niż zwykle opuściło nieprzebyte lasy nad Studzienną.

Z zadumy wyrwało go ostrożne drapanie w drzwi. To prosił o wpuszczenie Muzgarko, niewielki pies myśliwski, mieszkający z nim nad Studzienną od lat dziesięciu, od śmierci swego poprzedniego właściciela „Oj, dam ja ci, Muzgarku!” zamruczał staruszek, zagrzebując się z głową w dery. „Ja ci podrapię...” Pies przez jakiś czas dał spokój drapaniu, a potem zawył nagle przeciągle i smutno „Ach, żeby cię wilki zjadły!” zawarczał leśniczy, podnosząc się niechętnie z ławy.

Stękając, podszedł do drzwi, otworzył je i — wszystko zrozumiał; czemu bolały go plecy i dlaczego wył pies. W powietrzu krążyła żywa siatka, utkana z dużych, puszystych śnieżynek. Wszystko, co tylko można było dostrzec przez nawpół uchylone drzwi, było pokryte śniegiem. Na świecie było niby jeszcze ciemno, a jednak w poświacie śnieżnej można było rozróżnić i zębata ścianę stojącego za rzeką lasu, i wzdętą, poczerniałą rzekę i kamienisty, maleńki półwysep w głębi.

Po skromnem śniadaniu, złożonem z suszonej ryby i chleba, leśniczy wyszedł na obchód lasu i zabrał z sobą Muzgarkę. Pies kroczył uroczyście tuż przy nodze pana i słuchał uważnie jego wywodów: „Niedarmo mnie przez trzy dni w krzyżach łamało”, mówił staruszek. „Sprawdziło się, że na niepogodę. O, jak to śnieg wali...”

W ciągu jednej nocy wszystko się



wokół zmieniło — las jakgdyby się przybliżył, rzeka zwięzła, a niskie, zimowe obłoki pełzły tuż nad ziemią, zawadzając, zda się, o wierzchołki jodeł.

Krótki jest dzień zimowy. Cały czas krzątał się staruszek koło swej chatki, naprawiając to i owo, żeby się lepiej schronić przed zimą.

„Jakoś, może, przebiduję zimę”, myślał głośno, postukując toporem w ścianę. „A jak zima przejdzie, to...” Świeżo spadły śnieg wszystkie myśli staruszka sprowadzał na temat zimy i zapasów, które trzeba było w związku z jej przyjściem poczynić.

Skończywszy pracę, staruszek usiadł na pniu pod oknem chatki i zamyślił się... Pies stanął obok pana i położył mu swą mądrą głowę na kolana. Pierwszy śnieg zawsze cieszył i jednocześnie smucił starego Jeleskę, przypominając dawne, dawne lata, kiedy to miał jeszcze swój dom i rodzinę. Teraz nikogo już nie ma. Wszystkich przeżył, i oto sam tu musi kiedyś dokonać żywota. Och, ciężka jest starcza samotność, a tu las wokoło, wieczna cisza i niema do kogo słowa przemówić. Istniała tylko jedna pociecha: pies. To był jego jedyny przyjaciel i obrońca. Kochał go więc staruszek bardzo, a Muzgarko również świata nie widział poza swym pa-

nem. Kochał go całym sercem i bronił zapamiętale, ryzykując dlań swem piśmieniem życiem przy każdym niemałym spotkaniu z niedźwiedziem lub wilkami. „Eh, starzejesz ty się już, Muzgarku”, rzekł Jeleska, głaszcząc psa po plecach. „Już i grzbiet masz sztywny, i zęby przytępione, i oczy mętne... Oj, staruszkule, staruszkule, zjedzą nas chyba obydwóch wilki tej zimy!...”

Muzgarko godził się nawet na śmierć. Przytulał się tylko szczelniej całym ciałem do pana i mrugał żałośnie oczyma. Jeleska zaś wciąż spoglądał w zadumie na poczerniałą rzekę, na głuchy las, co zieloną ścianą uciekał na setki kilometrów tam, do lodowatego morza, na ledwo dostrzegalne wierzchołki gór — patrzył, nie poruszając się, pogrążony w ciężkiej, starszej zadumie.

Aż tu nagle zauważył staruszek, że Muzgarko jakgdyby zaczął tęsknić... Chodzi dziwnie ponury, nie szczeka... Niedomaga coś psisko. Może furmani urzekli?... „Muzgarkule miły, co się z tobą dzieje? Gdzie boli?”... Położył się Muzgarko pod ławą, głowę między łapy położył i tylko oczyma mruga. Przestraszył się Jeleska: „Nadeszło, widać, nieszczęście”, myśli A pies wciąż leży, nie je, nie pije i nawet głosu nie wydaje. „Muzgarkule drogi?...”

Muzgarko zamerdał ogonem, podpełzł do pana, polizał go w rękę i ci-cho zawył.

Hula wiatr po zamarzłej rzece, naniosi zaspę metrowe, wyje w lesie niczem wilk głodny, i zasypuje zupełnie chatkę Jeleski. Sterczy już bezmała tylko komin, z którego unosi się niebieska strużka dymu.

Oto już dwa tygodnie trwa zamieć. Staruszek nie wychodzi wcale z izdebki, tylko wciąż siedzi nad chorym pieskiem. A Muzgarko już ledwie oddycha: nadeszła, widać, Muzgarkowa śmierć.

„Żywicielu mój...” płacze staruszek i całuje wiernego druha. „Najmilszy mój... no, powiedz, gdzie boli?”

Nic nie odpowiada Muzgarko. On dawno już poczuł swą śmierć i milczy... Płacze, zabija się staruszek, a nie pomóc nie może; na śmierć niema lekarstwa. Z Muzgarką umierała ostatnia nadzieja starca i nie pozostawało mu nic oprócz śmierci. Kto teraz zaszczeka na głuszcza, kto wytropi jelenia?! Śmierć bez Muzgarki, okropna, głodowa śmierć.

A tu jeszcze wilki... Wyczuły, widać, nieszczęście, podeszły do samej chatki i zawyły. Całą noc niepokoiły tak serce Jeleski. Oh, niema komu teraz ich przestraszyć, niema komu odpędzić od chatki.

Muzgarko zdechł przed samem Bożem Narodzeniem, kiedy luty mróz trząsał po lesie. Było to w nocy. Jeleska leżał na ławie i drzemał. Wtem, jakby go coś tknęło. Zeskoczył z ławy, zapalił świecę, podszedł do psa — Muzgarko leżał martwy... Coś chwyciło Jeleskę za serce chłodną ręką: to była i jego śmierć.

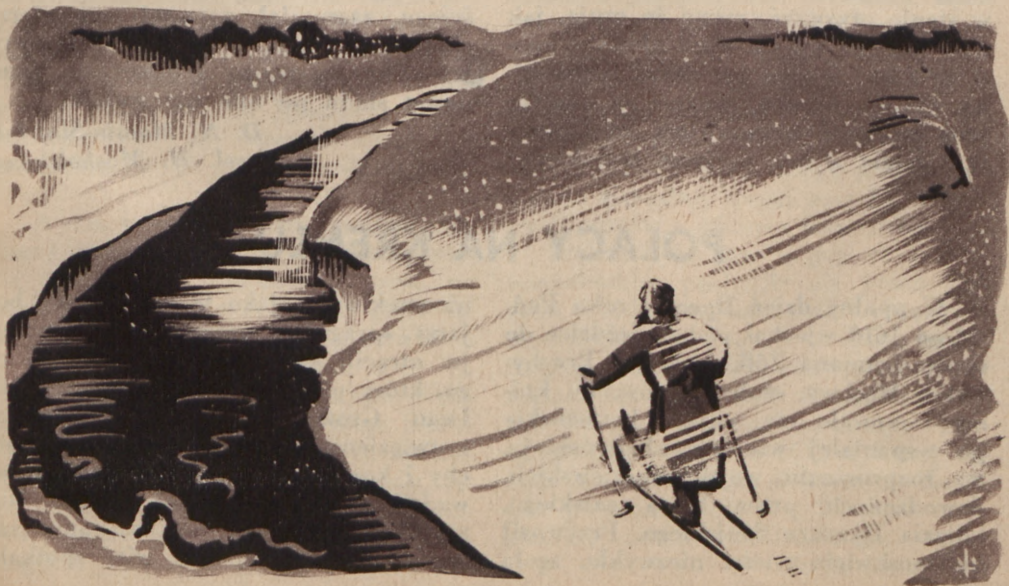
Nie chciał Jeleska, by wilki pożarły ciało Muzgarki i zakopał go w sieni. Trzy dni rył zmarzniętą ziemię, nim wreszcie pochował w niej zmarłego przyjaciela.

Od tego czasu począł źle sypiać po nocach stary Jeleska. Tęsknota za psem i wspomnienia wspólnie przeżytych z nim lat w lesie, spędzały sen z jego powiek. Teraz już naprawdę nikogo nie miał na świecie.

„Ech, Muzgarku!” powtarzał staruszek po kilka razy na dzień, czując, jak wszystko poczyna mu się walić z rąk. „Rzucę chyba wszystko i wrócę na Kołwę, albo do Czerdynia pójdę!” postanowił Jeleska.

Naprawił narty, na których jeszcze w młodości ścigał jelenie, wziął na pięć dni żywności, pożegnał grób Muzgarka i ruszył w drogę.

Trudna droga prowadziła z leśniczówki na Kołwę. Spoczątku trzeba było iść na nartach wzdłuż rzeki. To





było łatwe. Lecz później zaczęły się góry i staruszek szybko wybił się z sił. Wyrył tedy w śniegu głęboki dołek, wyścielił go choiną, rozpałił ognisko, posilił się i położywszy plecak pod głowę, legł, by nieco odpocząć. Ze zmęczenia szybko zasnął. Jak długo spał, nie wiedział, dość, że obudził się, poczuwszy czyjś ciepły oddech na twarzy.

„Wilki!...” jak błyskawica przebiegła mu myśl przez głowę. Chce się podnieść, ale nie może. Jakby go kto sznurami związał. Nawet oczu nie jest w stanie otworzyć, mimo że czuje, jak wilk porywa plecak spod głowy i unosi ze sobą. Jeszcze raz czyni rozpaczliwy wysiłek Jeleska, pragnie za wszelką cenę zważyć opanowującą go drętwotę i nagle słyszy znajome szczekanie:

skądś, niby spod ziemi zaszczekał radośnie Muzgarko. Tak, to napewno on... Już słyhać skowyt coraz bliżej i bliżej... Mądry pies, widocznie po śladach trafił... Oto już czuje nawet jego ciepły oddech na twarzy... Podniósł z trudem ciężkie powieki Jeleska i widzi: rzeczywiście, Muzgarko, a z nim i Potap, dawniejszy właściciel psa. „Ty tu, dziadku?” pyta Potap i uśmiecha się cicho...

„Jam przyszedł po ciebie...”

Zadął chłodny wiatr, porwał tumany śniegu, zaszumiał, zajęczał nad wierchołkami jodeł... Posypał się gęsty śnieg na martwego Jeleskę: do rana nawet śladu po nim nie zostało.

*D. N. Mamin-Sibirjak
przeł. H. Moskalikowa*

POLACY NA KREMLU

W upalny dzień lipcowy roku Pańskiego 1610 wjechał pędem jeździec do obozu hetmana Żółkiewskiego. Przybywał z Moskwy, stolicy carów, ku której kierowało się wojsko hetmańskie po wspaniałej wiktoryi kłuszyńskiej... po rozproszeniu wojsk moskiewskich, dowodzonych przez brata carskiego, kniazia Dymitra Szujskiego. Przywoził ów moskwicin wieści niezwykle, zgło-

nieoczekiwane, jako to moskiewscy bojarzy, spragnieni wreszcie ładu i spokoju, utracili sami cara Wasyla Szujskiego, który poczynił sobie okrutniej, niż Iwan Groźny, dawny samodzierzca, a uwięzieniem posłów polskiego monarchy i konszachdami ze Szwedami sprowadził wojny i nawałnicę wrogów. Nie umiał jej odeprzeć ani on, ani brat jego, Dymitr, zasłużona więc spotkała

go kara. I jeszcze ciekawszą nowinę przywoził poseł moskiewski. Bojarzy nie tylko w mnichy postrzygli swego cara i osadzili w monasterze klasztornym, ale chętni są Zygmunta syna, bitnego Władysława z Polski swym panem okrzyknąć, byle im swobodę wyznania prawosławnego zabezpieczył. Niech więc przyjadą Polacy na Kreml, aby spisać ugodę przedeleacyjną. A na zastaw szczerości swych zamiarów, że niema podejścia, ni podstępni, ni jakiego, skłonni są Szujskich i bojarów przeciwników wydać, by ci do Polski wywiezieni, mącić i niezgodę siać przestali.

Przemienne wzruszenie ogarnęło starego hetmana. Miałoby się spełnić marzenie pieszczone przez całe życie? Cel, dla którego poświęcił tyle znoju, bliski ziszczenia. Polska Jagiellońska, co Litwę i Ruś wchłonęła, zjednoczona będzie węzłem dynastycznym z Moskwą, dotychczasową groźną przeciwniczką. Potęga owa zdolna przeciwstawić się zakusom niewiernych na Wschodzie — odegra rolę poważną w zespole mocarstw Europy. A bezpieczeństwo nazewnątrz wzmocni stanowisko dynastji nawewnątrz. Ustaną one właśnie gorzące, bo czemuż marna szwedzka sukcesja, która tyle niechęci w kraju wzbudziła, tyle pochłonęła już ofiar ludzkich, w porównaniu z owym wspaniałymabytkiem na Wschodzie. Nie warta będzie zabiegów. Jedzie posłaniec hetmański do króla z wieścią radosną, prosi hetman w piśmie odręcznym o wyprawienie królewicza do Moskwy i o pełnomocnictwo do spisania układów przedeleacyjnych z moskiewskimi bojarami.

A sam ze swymi pędzi przodem. Nie bacząc polskie szeregi na wyczerpanie, na upały, które wyniszczyły paszę, na brak żywności w tym kraju, gdzie od lat sroży się pożoga wojenna, owa smuta — rozprężenie straszliwe.

Ciągną szlakiem wojennym. Wpoprzedzie im stają wojska drugiego Samozwańca, który podając się za cudem uratowanego Dymitra Rurykowicza, sięga zuchwałą dłonią po carów władanie. Szarpia ich szwedzkie żołdaki najemne, dokucza wałęsające się po drogach żoł-

dactwo, bez żołdu na grabież skazane. Lecz mimo zmęczenia, mimo ustawicznego wojennego pogotowia i ciągłych drobnych utarczek, stają we wrześnie na Kremlu polskie zastępy. Niema jeszcze królewskich wskazówek, niema królewicza Władysława. Ponoś z Wilna z matką do Polski wyjechał. Wypatruje Żółkiewski z utęsknieniem gońca ze smoleńskiej szosy, a tymczasem prowadzi pogwarki z bojarami. Niecierpliwić się już poczynają, gdyż chodzą wieści, że król zwłoczy umyślnie... że paktuje z papieżem... o nawrócenie prawosławnej Rosji... Wreszcie zjawia się goniec królewski. Dumny Wasa nie jest skłonny do kompromisów, obcą mu polska racja stanu. Królewicza nie przyśle. Kraj w rozprężeniu wymaga silnej dłoni monarchy dojrzałego, a nie młodzieńca. Sam gotów jest ofiarować włożyć na skroń koronę carów, by zaprowadzić ład i bezpieczeństwo, gotów poddać się zapewnić swobodę ich kacerzkiego wyznania, ale przypuszcza, że sami poznają swe błędy... a Kościół katolicki przygarnie ich chętnie...

Pierzchno rojenie o wielkiem mocarstwie... o przedmurzu chrześcijaństwa. Odczuł stary hetman, jakie trudności mnoży w kraju prawosławnym osoba Zygmunta, niepopularnego i w kraju ojczystym, nieprzejednanego katolika, któremu przypisywano w Polsce dążenia do absolutnej władzy... Trudno hetmanowi porzucić dalekosiężne plany zjednoczenia słowiańskiego. Może żywe słowo lepiej przemówi do króla od wypisanych argumentów. Spieszy do Warszawy, drobną tylko załogę pozostawiając na Kremlu... uwozi ze sobą dostojnych jeńców i zdobycz kłuszyńską.

Piękna była chwila, gdy na Zamku warszawskim pochyliły się przed polskim włodarzem zdobyczne chorągwie moskiewskie i w karnym hołdzie bracia Szujscy ze zdetronizowanym carem na czele... Nie wnet uległa zmianie królewska decyzja... A na zawsze minęła chwila sposobna. W roku 1613 wybrany zostaje carem Michał Romanow... Zapóźno pojechał królewicz Władysław na zdobycie tronu moskiewskiego...

Zofja Krzemicka

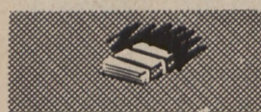
CO WYWOZIMY

DO ZSRR

DO INNYCH KRAJÓW



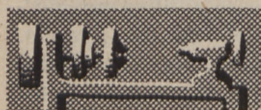
ŻELAZO I STAL WALCOWANE
360084q 228405q
61% 39%



BLACHA ŻELAZNA NIEPOKRYTA
31295q 303591q
9,2% 90,8%



PYŁ CYNKOWY
7222q 30529q
19,1% 80,9%



TOKARKI
1465q 62q
96% 4%



CZĘŚCI WAGONÓW
2259q 20957q
9,9% 90,9%



SŁONINA I SĄDEŁO
2877q 75q
97,1% 2,3%



CO SPROWADZAMY

Z ZSRR

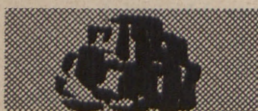
Z INNYCH KRAJÓW



RUDY ŻELAZNE WYSOKO%
461,175q 190676q
33,7% 56,3%



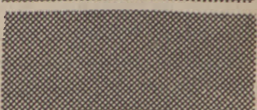
RUDY MANGANOWE
318,632q 64485q
83,2% 16,8%



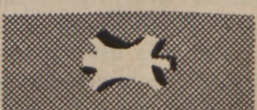
ANTRACYT
131,200q 1460q
99% 1%



FOSFORYTY MIELONE
28682
100%



SKÓRKI WYPRAWIONE
112q 16q
87,5% 12,5%





Dla amatorów piosenek Radjo przygotowało audycję pod tytułem: „Śpiewajmy piosenki”. Odbędzie się ona we wtorek, 3 marca od godz. 12 min. 15 do godz. 12 min. 30. Uczcie się więc śpiewać razem ze swymi rówieśnikami.

We środę, 4 marca od godz. 16.00 do godz. 16 min. 20 rozgłośnia lwowska podyktuje nowe „Zagadki muzyczne”, które stale cieszą się wśród słuchaczy dużym powodzeniem. Myślę, że i Wy pošlecie swoje odpowiedzi na pytania, zadane podczas audycji.

We czwartek, 5 marca od godz. 16.00 do godz. 16 min. 15 przy mikrofonie zasiądzie Stary Pan Doktor ze swoją „gadaninką”. Może jeszcze przygotuje Wam jaką niespodziankę.

Na program piątkowy, 6 marca od godz. 12 min. 15 do godz. 12 min. 40 złożą się: 1. ciekawe opowiadanie dla szkół i starszych dzieci p. t.: „Syberja — kraj śniegu, słońca i wygnania”. Wygłosi je prezes Akademji Literatury, Wacław Sieroszewski. 2. „Pieśni wygnańców”, które zaraz po tem opowiadaniu usłyszycie. Niejedną z tych pieśni napewno znacie, naprzykład: „Nie dbam jaka spadnie kara”.

I od godziny 16 min. 45 do godz. 17.00 radjo nada interesującą pogadankę przyrodniczą dla starszych dzieci p. t.: „Przyroda w marcu”. Dowiecie się z niej o najciekawszych zjawiskach, jakie dadzą się zauważyć w miesiącu marcu w świecie roślinnym i zwierzęcym na ziemi. Pogadankę powie pan prof. St. Sumiński.

W sobotę, 7 marca od godz. 16 min. 15 do godz. 16 min. 45 Wilno da Wam ładne słuchowisko p. t.: „O skarbie na Bakszcie”. Jest to stara legenda wileńska o złej księżniczce, która mieszkała w zamku na wyspie Bakszcie. Księżniczka była bardzo niedobra dla swego otoczenia, ze wszystkich drwiła, aż raz stało się nieszczęście, ale nie powiem jakie. Posłuchajcie.

W niedzielę, 8 marca od godz. 16.00 do godz. 16 min. 15 będzie „Chwilka pytań” w układzie p. Wacława Frenkla, jak zawsze bardzo ciekawa dla starszych dzieci.

I w poniedziałek, 9 marca od godz. 18 min. 30 do godz. 18 min. 40 odezwie się „Skrzyneczka radjowa”, aby omówić bieżącą korespondencję.

T O B Y Ł O N

Malutki Władysław dał się skusić dziadziowi cukierkami, które starzec nosił razem z machorką w kieszeni i częstował niemi malców, ale Stefan brało do nich obrzydzenie i jeśli mu dziadek wcisnął w rękę cuchnący, lepki cukierek, to go nieznacznie oddawał Fince, jamniczce, która leżała zawsze pod krzesłem dziadka.

Kiedyś dziadek to spostrzegł, podniósł wielki krzyk na warszawskie fo-

chy i odtąd wyszydzał starszego wnu-ka, a i mamie niejedno się dostało za to, że nie umie wychowywać dzieci w szacunku dla starszych. Mama nieraz namawiała Stefana, aby się przewyciężył i starał do dziadka zbliżyć, ale chłopiec był za mały i nie mógł jeszcze zrozumieć, że jej położenie jest trudne, a i tego również, że stary, spracowany człowiek, osamotniony oddawna, może być

zgorzkniały i czynić przykrości nawet tym, których kocha. Myślał więc, że mama trzyma z dziadkiem przeciwko niemu i zaczął się boczyć na oboje. Poczucie nieszczyścia i krzywdy rośło w nim z każdym dniem, ze szczerzego, wesołego chłopca stał się skryty i ponury. Myślał ciągle o ojcu i tęsknota za nim nie słabła w jego sercu z czasem ani trochę, przeciwnie, coraz bardziej wbił sobie w głowę myśl, że tylko ojciec go kochał, tylko ojciec był mu życzliwy, że bez niego już nigdy, nigdy nie zazna szczęścia. A nie wiedział, czy ojciec wróci i kiedy?

Spoczątku matka wcale o nim Stefanowi nie wspominała z obawy przed nowym atakiem choroby, po kilku jednak miesiącach na wyraźne żądanie ojca kazała Stefanowi napisać do niego list po rosyjsku, bo inaczej do więzienia pisać nie było wol-

no, a Stefan już zaczynał się uczyć tego języka podług programu wstępnej klasy gimnazjum.

— Po rosyjsku? — wykrzyknął chłopiec ze zgrozą.

— A ojcu tam nawet inaczej mówić nie wolno, — odparła mama.

Stefan schował się w zaroślach na końcu ogrodu i buntował przeciwko całemu światu, ale po kilku godzinach przyszedł do mamy i poprosił, aby mu podyktowała list, bo sam nie umiałby go jeszcze napisać. Przykładał się jak tylko mógł najbardziej, toteż ojciec w odpowiedzi, którą mu mama przetłumaczyła na polski, wyrażał zadowolenie, że syn tak pięknie i starannie pisze. Odtąd w jego smutnem życiu zabłysnął malleńki promyczek: listy do ojca i od ojca, które mu już teraz zawsze mama tłumaczyła.

c. d. n.



NIE KAŻDY SNADNIE TO ODGADNIE

REBUS 1



REBUS 2



ZAGADKA 1

Jeśli do opowieści
jedną literę dodasz,
w sześciu literach
jezioro się zmieści —
a w niem głęboka woda.

ZAGADKA 2

Jedno morze
w jasnym kolorze,
drugie morze
w innym,
a między niemi
niemało ziemi.

ZAGADKA 3

Gdy dołożyc
coś do kozy,
możesz tańczyć
taniec hoży.

ZGADKA 4

Każda kaczką umie powiedzieć dru-
gą połowę nazwy miasta. A jaka jest
pierwsza połowa nazwy i jaka jest cała
nazwa?

SZARADA 1

W onej szaradzie wypada,
że się do *pierwszej* dokłada
spółgłoskę małą.
Pierwsza — smak miły posiada,
z jajka i z cukru się składa,
wygląda biało.
A *całość* dumnie się wznosi
w stolicy Sowieckiej Rosji.
Zgadujcie śmiało!

SZARADA 2

Pierwsza — roślina włóknista.
Gdy *drugą* do niej dorzucić —
to sławny komunista,
zmarły wódz rewolucji.
Trzecią — przynoszą burze,
dla zbóż to klęska sroga.
Całość — to miasto duże
tuż nad jeziorem Ładoga.

ROZWIĄZANIE Z N-RU 24

Rebus 1—ziedzamy odlewnię stali,
2—przemysł i rzemiosło. Zagadka 1—
śruba, 2—młotek, 3—piła, 4—murarz,
5—gwóźdź. Szarada: fabryka.

WARUNKI PRENUMERATY:

W prenumeracie pojedynczej:		W prenumeracie zbiorowej (od 10 egz. wwyż):	
miesięcznie	zł. 1.10	miesięcznie	zł. —.84
półrocznie	„ 5.—	półrocznie	„ 4.—
rocznie	„ 10.—	rocznie	„ 8.—

POJEDYŃCZY NUMER „PŁOMYKA” KOSZTUJE 30 gr.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: WARSZAWA, UL. SMULIKOWSKIEGO 1.
(wejście od ul. Dobrej Nr. 6). Nr. telefonu administracji 2.69-49, redakcji 6.30-28.

Konto czekowe P. K. O.: „Związek Nauczycielstwa Polskiego — Zarząd Główny —
Warszawa” — Numer konta 435.

PRENUMERATORÓW WARSZAWSKICH OBSŁUGUJE BIURO ADMINISTRACJI PRZY
ULICY ŚWIĘTOKRZYSKIEJ 18, TEL. 5.22-18. BIURO CZYNNE OD G. 9-ej DO 7-ej W.

Redaktorzy: M. KOTARBIŃSKI i ST. MACHOWSKI. Kierownik artystyczny — K. PIENIAŻEK.
Wydawca: w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego — STANISŁAW MACHOWSKI.

Druk. Rotograw. „Nowoczesnej Spółki Wydawniczej, S. A.”, Warszawa

